

Byłem prymusem.

**Z profesorem Bolesławem Gleichgewichtem rozmawia Wiesława Bahyrycz –
Kroczyńska.**

Opowiedz o swoich rodzicach.

Moi rodzice wywodzili się z tak zwanych dobrych domów. Oboje byli inteligentami. Dziadkowie ze strony ojca byli ludźmi bardzo bogatymi. Ojciec miał wyższe wykształcenie, które zdobył w Niemczech, na politechnice, na wydziale budownictwa maszyn. Był inżynierem, a wtedy to był zaszczytny, poważny tytuł. Moja mama miała wykształcenie średnie, którego poziom był nieporównanie wyższy w stosunku do obecnego. Kobiet wykształconych było wówczas niewiele. Mama grała na fortepianie, władała swobodnie językiem francuskim, niemieckim i rosyjskim. Znała też jidisz, ale tylko w mowie. Ojciec znał język niemiecki niemal jak polski, rosyjski i jidisz – również w piśmie. W naszym domu mówiono niemal wyłącznie po polsku, rzadko po niemiecku, co miało miejsce wówczas, gdy byli goście władający tym językiem.

Jak byłeś wychowywany, czy można te metody określić mianem bezstresowych?

Byłem jedynakiem, a więc z natury rzeczy dzieckiem raczej rozpieszczonym. Nie wychowywano mnie surowo. Pojęcie wychowania bezstresowego wówczas nie istniało, słowo stres też nie było znane.

Mama, która bardzo przejmowała się zdrowym odżywianiem jedynaka, za wszelką cenę chciała mnie zmusić do jedzenia warzyw i owoców. Pomimo moich protestów ciągle pojawiały się na stole kalafior, marchewki, jabłka i pozostały asortyment niejadalnych dla mnie produktów rolnych. Do dzisiaj nie przepadam za warzywami i owocami, powiem więcej, jestem podręcznikowym

przykładem, jak nie należy się odżywiać. I proszę, skończyłem niedawno 88 lat. Oczywiście nikogo nie namawiam do naśladowania mnie.

A najmiłą zabawą było naśladowanie konduktów pogrzebowych. Czyż nie?

Zapewne dziwi ciebie moja ulubiona zabawa z lat dziecięcych. Mieszkaliśmy przy ulicy, którą przemierzały się kondukt. Często u nas przebywała moja kuzynka Janka, kilka lat młodsza (od długiego czasu mieszka w Stanach Zjednoczonych i gdyby ktoś zechciał spisać historię jej życia, miałby przebogaty materiał). I my, dwoje dzieciaków, z zacięciem oglądaliśmy kondukt, a następnie „odgrywaliśmy” je w salonie. Ja robiłem za orkiestrę, a Janka, jako młodsza, wykonywała moje polecenia. Beztróskie czasy!

Czas beztróskiego dzieciństwa szybko mijał i mały Boluś poszedł do szkoły...

Do szkoły poszedłem w roku 1928, w wieku dziewięciu lat, do klasy wstępnej Gimnazjum im. Mikołaja Reja w Warszawie. Do tego czasu uczyłem się w domu, pod okiem doświadczonego pedagoga, mojej znacznie starszej kuzynki Marii Szejnman, która przygotowała mnie do egzaminu wstępnego. Wyboru szkoły dokonała moja matka, przy aprobacie ojca. Gimnazjum Reja było znakomitą szkołą niepaństwową, prowadzoną przez Zbór Ewangelicko – Augsburski (luterński).

Jak wyglądał przeciętny dzień ucznia w gimnazjum Reja?

Typowy dzień ucznia, przynajmniej mój, był następujący: budzenie, pierwsze śniadanie (w domu), droga do szkoły, którą przemierzałem tramwajem. Zajęcia w szkole trwały od 8 do 12, 13 lub 14. W szkole zjadałem drugie śniadanie. Do domu wracałem również tramwajem, w starszych klasach niekiedy pieszo. Jadłem obiad, odpoczywałem, jadłem podwieczorek (ale tylko wtedy, gdy byłem w młodszych klasach). Później odrabianie lekcji, które trwało do kolacji. Czytanie książek, czasem kino z rodzicami. Sen.

Przedwojenna szkoła różniła się od obecnej. Na co zwracano szczególną uwagę?

W gimnazjum zwracano uwagę na dobre przyswajanie materiału podczas lekcji, staranne odrabianie zadań domowych. Uczeń Reja musiał nienaganne się zachowywać w szkole i poza nią. Panowała dość surowa dyscyplina. Pamiętam, że jeden z uczniów zerwał kwiat w Łazienkach, ktoś to zauważył, przekazał informację do szkoły i tego ucznia usunięto ze szkoły. Dzisiaj to brzmi zupełnie nierealnie, prawda?

Już widzę reakcje obecnych uczniów...

Ale szkoła to nie tylko uczniowie, ale i nauczyciele. Jak, po latach, oceniasz swoich wykładowców?

Byli to ludzie bardzo dobrze przygotowani merytorycznie i pedagogicznie, na ogół wymagający. Wielu wyróżniało się szerokimi horyzontami myślowymi, niektórzy z nich mieli stopnie naukowe bądź byli autorami podręczników czy monografii. Szczególnych oryginałów wśród nich nie było. A może to i dobrze?

Lata szkolne to także czas kształtowania młodych ludzi. Czego oczekiwali od was nauczyciele? Jakie wartości były cenne dla uczniów?

Przez pedagogów najbardziej cenionymi były zdolności ucznia i jego pilność, uczciwość i prawdomówność, poszanowanie godności własnej i honoru. My ceniliśmy honor, koleżeństwo, walory umysłu, no i fizyczne. Chyba jasne, dlaczego.

Każdy ma w pamięci chwilę, którą wspomina, nawet po wielu latach. Co Ty zachowałeś w zakamarkach pamięci?

To pozornie drugorzędne zdarzenie. Klasa była w naszym ośrodku - „Rejówce” koło Góry Kalwarii (każda klasa spędzała tam dwa razy po tygodniu rocznie, nie

był to czas beztroskiego wypoczynku, odbywały się lekcje). Po kolacji poszliśmy na spacer, w szyku parami. Szliśmy pod lasem, było pięknie. Panował jakiś niepowtarzalny nastrój. Powiedziałem do idącego ze mną w parze Genia Szulca, że tego spaceru nie zapomnę do końca życia. Odparł, że życie przynosi tyle niespodzianek, że może być wojna, że na pewno zapomnę. Nie zapomniałem. Chciałem mu to powiedzieć, ale nie doszło do naszego spotkania. Zmarł jakiś czas temu.

Jak spędzałeś wakacje w latach przedszkolnych i szkolnych?

Od najwcześniejszego dzieciństwa aż do 1930 roku razem z matką wyjeżdżaliśmy na letnisko koło Warszawy lub nad morze (ojciec dojeżdżał później, miał obowiązki związane z pracą). Pamiętam ustalanie zapłaty za pokój w Zoppocie (dzisiejszy Sopot oczywiście). Po kilkudziesięciu latach ponownie byłem w Sopocie, szliśmy z kolegami matematykami plażą i nie bardzo wiedzieliśmy, dokąd się udać. Wtedy rozejrzałem się i krzyknąłem: wiem, gdzie jesteście! Byłem tu z mamą przed wojną! I rzeczywiście odnalazłem drogę do miejsca, w którym nocowaliśmy. Pamięć potrafi nieraz człowieka zaskoczyć.

W 1930 roku byłem w „Rejówce” na koloniach szkolnych przez dwa miesiące. Wakacje spędzałem też na letnisku u cioć, razem z ich dziećmi. Moi koledzy podobnie wypoczywali w czasie wakacji.

A sport? Nic o nim nie wspominasz, czyżbyście w Reju mieli go w pogardzie?

Rola sportu była bardzo duża, ale chyba mniejsza niż obecnie. Grywaliśmy w ping ponga, siatkówkę, piłkę nożną (w młodszych klasach była zabroniona, tłumaczono nam, że będziemy mieli krzywe nogi). Mieliśmy świetne boisko szkolne za miastem (inne gimnazja na ogół go nie posiadały). Uprawialiśmy sporty podczas pobytu w „Rejówce”, rzadziej na lekcjach gimnastyki, podczas których rzetelnie ćwiczyliśmy. Dzięki gimnastyce mieliśmy ładnie wyprofilowane mięśnie, przede wszystkim łydek. Czy zauważyłaś, że dzisiaj

chłopcy mają zupełnie niewyrobione mięśnie łydek? Nie uprawiają klasycznej gimnastyki i tyle. Po lekcjach grałem w ping ponga, nieźle biegałem na krótkich dystansach i skakałem wzwyż, uprawiałem też grę w piłkę nożną, ale bez większego powodzenia. Byłem za to dobry w grze w szachy, od 6 klasy zdobywałem mistrzostwo gimnazjum.

Szachy to była Twoja pasja. Jak długo grałeś?

Kilkadziesiąt lat. Jednak z czasem to stało się groźne i zaczęło przeszkadzać w pracy i karierze naukowej. Wtedy powiedziałem sobie: koniec. Nigdy więcej nie zagrałem, chociaż, o ile pamiętam, namawiałaś mnie, abym rozegrał korespondencyjnie jedną partię z twoim uczniem. Wiedziałem, że znowu może zacząć się szachowe szaleństwo, a przede wszystkim nie chciałem łamać danego sobie słowa.

Wróćmy do nauczania. Jestem polonistką i najbardziej interesuje mnie spis lektur. Jakie utwory omawialiście w szkole?

W najmłodszych klasach była to Janina Porazińska, Maria Konopnicka, „Serce: Amicisa, Andersen, bracia Grimm, nieco później także drobne utwory Sienkiewicza i Prusa. Potem „Placówka”, to i owo Żeromskiego. Prawie cała IV klasa gimnazjum to „Iliada”, prawie cała V – „Odyseja”. VI klasa to początki literatury polskiej, ale gros czasu poświęcone było szesnastemu wiekowi (głównie Kochanowski, także Rej, Frycz – Modrzewski, Orzechowski i inni). Trochę zahaczyliśmy również o XVII wiek. W VII klasie najwięcej czasu poświęcano Mickiewiczowi, oprócz jego utworów czytaliśmy Słowackiego oraz Kraszewskiego. VII i częściowo VIII klasa należała do Szekspira (w dużych ilościach), trochę czytaliśmy Schillera i Goethego. W VIII klasie omawialiśmy dzieła Żeromskiego, Prusa i Reymonta. W końcu VIII klasy najnowsza literatura polska (bardzo pobieżnie): Nałkowska, Gojawiczyńska, Berent, Dąbrowska, Tuwim.

Byłeś pilnym uczniem i z pewnością czytałeś wszystkie lektury.

Nie wyobrażałem sobie, że można nie przeczytać lektury. Zresztą w przedwojennym systemie szkolnym, a szczególnie u Reja, jak już wspomniałem, zwracano uwagę na przygotowanie ucznia do lekcji. Za byle drobiazg można było zostać usuniętym ze szkoły, więc większość bardzo sumiennie podchodziła do swoich obowiązków.

Ty jednak nie poświęciłeś się historii literatury, wybrałeś inną dziedzinę nauki.

Bardzo zainteresowałem się naukami ścisłymi, głównie pod wpływem sporo starszego ode mnie kolegi Józka Halemana. Z tym, że przedmiot mego zainteresowania zmieniał się. Z początku była to astronomia (w wieku 8 lat i jakiś czas później). Potem, już w szkole – chemia (pod wpływem nauczyciela, Zygmunta Szellera), byłem nawet przewodniczącym kółka chemicznego. Chyba w VII klasie zacząłem interesować się fizyką. Czytałem bardzo poważne książki z tej dziedziny, na przykład Chwolsona „Fizykę współczesną”. Zdobyłem dużą wiedzę w tej dziedzinie. Nieźle orientowałem się w teorii względności (bez aparatu matematycznego), najbardziej interesowała mnie szczególnie teoria względności. Wiedziałem, co to jest teoria kwantowa. Matematyka interesowała mnie wówczas głównie jako aparat fizyki. A skłaniałem się ku fizyce teoretycznej, tak zwanym doświadczalnikiem byłem marnym.

A później studia...

Wybrałem fizykę na Uniwersytecie Warszawskim. Po wojnie kontynuowałem naukę na wydziale fizmat (fizyczno – matematycznym) na uniwersytecie odeskim. Moje zainteresowania przeniosły się na matematykę. W połowie III roku trzeba było wybrać kierunek, zdecydowałem się na matematykę. Mogę się pochwalić? Uczyłem się bardzo dobrze miałem same celujące oceny na

świadectwie ukończenia i otrzymałem dyplom z wyróżnieniem. Byłem prymusem, ale inaczej nie potrafiłem się uczyć.

A warunki do nauki nie były komfortowe.

Teraz, po kilkudziesięciu latach sam się zastanawiam, jakim cudem udało mi się przetrwać te czasy. Często głodowałem. Pamiętam, jak gotowałem mamałygę (kaszę kukurydzianą wrzuconą do wrzątku), to zawsze obiecywałem sobie, że od razu nie zjem wszystkiego. Nigdy mi się to nie udało, taki byłem wygłodzony. Teraz pewnie nie zjadłbym tej potrawy, ale wtedy mamałyga była obiektem moich marzeń.

Chodziłem w łachmanach, ale tak bardzo chciałem skończyć studia. Czułem, że bez nich będę nikim.

Zastanawiam się, w jaki sposób szkoła wpłynęła na ukształtowanie Twojej osobowości, na całe dorosłe życie?

Wpływ szkoły na ukształtowanie mnie był ogromny. Patriotyzm, uczciwość, poczucie godności i honoru, humanizm, poszanowanie demokracji i wolności – wszystko to zawdzięczam w znacznej mierze szkole. A już w ukształtowaniu mojej wiedzy jest nie do przecenienia. Na rozwój mojej osobowości zasadniczy wpływ mieli moi rodzice, gimnazjum i wspomniani wcześniej Maria Szejnman i Józek Haleman. Niestety, nie mogłem już pojechać na zjazd absolwentów gimnazjum Reja, zresztą z mojego rocznika zostało zaledwie kilka osób...

Bolesław Gleichgewicht, ur. 30 kwietnia 1919 r. w Warszawie. W 1939 uciekł w głąb Związku Radzieckiego, gdzie został zmobilizowany do batalionu pracy. W latach 1942-45 w Armii Czerwonej. Po wojnie student matematyki w Odessie. W 1956 powrócił do Polski. Wykładowca uniwersytecki, autor podręczników algebry, członek zespołów redakcyjnych pism matematycznych, działacz polityczny. Autor wspomnień „Widziane z oddali”.